

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

(A L L E L U J A .)



Alleluja! wiosna błyska,
Słońce grzeje, trawka buja:
Ziemia znowu jak kolyska,
Zbóż i kwiatów... Alleluja!
I z tych kwiatów wnet się wonność
Jak kadzidło w niebo wzniesie;
Świat zaściele łąk zieloność,
Chóry ptasząt zabrzmią w lesie:

Aż znów mroczna i ponura
Cała ziemia i natura
Jak świątynia strojna stanie,
Na sił swoich zmartwychwstanie.

O! młodości! wiosno życia!
Wiosno pokoleń ludzkości!
Gdybyś i ty, w dniach rozwicia

Sił, umysłu i miłości, —
Wzorem ziemi i natury —
Wszystko, co ci dane z góry,
Zamiast rozwiać wichrów tchnieniem,
Zamiast spalić żądz płomieniem,
Bożem ziarnem siałą światu,
Aby ono twemu latu,
Samo rosnąć w nieskończoność,
Dało plenność, barwność, wonność.
O! i gdyby przy tym świecie,
Ziemia z Niebem, zawsze społem,
Brzmiąły zgodnem a wesołem

Alleluja!

A. W. Odyniec.

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

I.

W pierwszy wtorek po świętym Wicie, to jest zaraz po 5 czerwcu, przypadał w Nasielsku walny jarmark. Ze wszech stron zjeżdżali się rzemieślnicy ze swoim towarem, nie dziw, że Marcin Łata, szewc z profesyi, pracował pilnie, ażeby jak najlepszy towar na jarmark dostawić. Tem więcej zaś pracował, że oprócz zwykłego jarmarcznego towaru miał jeszcze do wykończenia obuwie dla wojska, które u niego akurat pięć niedziel temu obstalowano, a na święty Wit miano zabrać. A tu jak na złość od kilku dni był taki upał, że wytrzymać nie można było, lecz pan Marcin poradził sobie. Miał on domek z ogrodem na przedmieściu — Poświętne, tutaj więc przeniósł cały swój warsztat i na podwórzu, pod cieniem dwóch olbrzymich brzoź i drżącej wiecznie osiny, z całą zamaszystością pracował.

Pan Marcin słynął daleko nie tylko z doskonałej roboty ale i ze swej mieszczańskiej buty, przeto w cechu miał wielkie poważanie, byle chłystka i próżniaka do swego warsztatu nie przyjmował, a przyjętych srodze w robocie pilnował.

I teraz oto kiedy się duszno zrobiło w izbie, kazał warsztat wynieść; czeladź ustawiała stołki, szukała narzędzi, a chłopcy kręcili się, spoglądając, ile tam z południa słonko już się posunęło, majster groźnie huknął:

— A co wy tam nicponie, darmozjady, łazicie jak muchy po przypiecku, żywo mi zaraz!

Jednego machnął pocięgiem. Lecz jakoś traf był taki, że pocięgiel nie dosięgnął winowajcy, co jednak nie przeszkadzało chłopakowi uderzyć w płacz, a innym w śmiech, który w kułak schowali; niemniej przeto poczęli się żwawo kręcić i przynosić potrzebne sprzęty.

Pan Marcin zaś na czeladź wołał:

— No, chłopcy, rażno do roboty, do zachodu słonka każdy musi swoją sztukę wykończyć!

A chcąc dać dobry przykład, począł zawzięcie przeciągać dratwę i stukać młotkiem, śpiewając przytem:

„Ciagnijże się skóro na moim kopycie,
Kto kupuje buty niech płaci sownie.
Oj, buty, moje buty, ciżmy i trzewice,
Pójdziecie daleko bić Turka na nice!”

„Bić Turka na nice!” powtórzyła czeladź chórem i przyśpiewując dalej rażno, miała się roboty, a jeszcze rażniej postukiwała młotkiem, tak, że naokoło słyhać było jeno: stuk, puk, stuk, stuk, stuk!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — zabrzmiał głos obcy tuż nad uchem pana Marcina.

— Na wieki, amen! — odrzekł tenże, nie odrywając się od pracy.

I zły, że mu ktoś w tej chwili ośmielił się przeszkadzać, odwrócił głowę i niechętnie zapytał:

— A co tam?

Ale śnać przybyły nie podobał mu się na pierwszy rzut oka i nie ujrzał w nim ani kupca na towar wiszący pod ścianą domostwa na grzędzie, ani też pomocnika w swej pilnej robocie, bo zmierzwszy go gniewliwym okiem, z góry ofuknął:

— Ty śniałku jakiś, podsunąłeś mi się pod sam łokieć, a nie staniesz mi gdzie zdala!

I nie dając przybyłemu przyjść do słowa, krzyknął:

— Czego to chcesz, ty jakiś obdartusie, może do terminu, he? nic z tego nie będzie, wynoś się!

I pociągnął zamasyżcie dratwę.

A choć o mało łokieć pana majstra nie uderzył w bok przybyłego, ten ani na krok się nie usunął, tylko śmiało zawołał:

— Nie żadnym ja waszego rzemiosła, jeno powiadajcie, czy nie jechał tędy poczt pana starosty czeńskiego?

— Idź sobie skądś przyszedł, a nie przeszkadzaj nam w robocie! — ofuknął Marcin.

— Nie gniewajcie się, panie majstrze, ale ich od ran szukam, toć nie dziwota, że każdego po drodze pytam.

— A tobie co do pańskiego pocztu? — zapytał Marcin, przypatrując się przybyłemu.

A czeladź i chłopcy spojrzawszy nań, zaśmiali się głośno i korzystając, że majster odwrócił od nich swe czujne oczy, poczęli się wykrzywiać na stojącego wyrostka i rozmaite figle na migi mu pokazywać. Więc jeden przymrużył oko i pokazał mu język, drugi grał na nosie, trzeci pokazywał, że go w but schowa, a najbliżej siedzący miał wielką ochotę poczęstować go kułakiem i pięść do niego wyciągał. Lecz chłopak z góry na to wszystko spoglądał, a chociaż może i krew w nim kipiała na te złośliwe zaczepki, zdawał się jednak nie zwracać na nie uwagi.

Odpowiedział tylko na pytanie majstra:

— Co mnie do niego, to moja rzecz, a wasza, jeżeliście uczciwy człowiek, odpowiedzieć, jak się patrzy.

— A ty przybyłdo jakiś, będziesz to tak hardo majstrowi odpowiadał! — porwał się jeden z czeladzi w obronę swego zwierzchnika.

— Nie do ciebie gadam, to się nie odzywaj, a przybyłdo nie jestem, rozumiesz! — odparł przybyły i ujął się pod bok z taką fantazją, że gdyby sam się mógł zobaczyć, bodaj czy nie parsknąłby śmiechem, tak zabawnie wyglądał. Bo choć był dobrze rozrosły, znać w nim było jeszcze dzieciaka. Odzież zaś miał biedną, a łapcie, przywiązane ladajakimi sznurkami i lykiem, ledwie się trzymały na nogach. Buta więc i fantazyja nie licowały zupełnie z jego pacholęciami laty, ani z nędzną, prawie żebraczą odzieżą. Że zaś się widzieć nie mógł, nie rozśmiał się, jeno nasrożywszy czoło, rzekł dobitnie:

— Jeżeli po ludzku i po chrześcijańsku pytam, to uczciwy człowiek tak samo po chrześcijańsku powinien odpowiedzieć, a mitręgi nijakiej nie robić!

— A cóżęsto za jeden, żeś taki hardy? — ozwał się pan majster i potrząsnął zamasyżcie kopytem.

— Jestem Jan Niewdźyd, szlachcic z dziada i pradziada, kiedy pytam o jezdnych, to śnać mam do nich swoje sprawy — odpowiedział chłopak, patrząc śmiało na śmiejących się z niego szewców.

— A bądź tam sobie urodzony z prapradziada i z praprababki, jeno mi tu pod ręką nie stój, bo cię z całem twojem szlachectwem wyrzucę! — ofuknął majster.

Chłopak ostatnich wyrazów już nie słyszał, bo widząc, że się nic nie dowie, mruknął tylko coś pod nosem, splunął niechętnie i odchodził znużonym i ociężałym krokiem, nie licującym z jego pełną energią postacią. Idąc, ocierał rękawem pot spływający mu z czoła i mruczał sam do siebie:

— Te dratwy nic oprócz swego kopyta nie widzą... musieli jednak tędy przejeżdżać, boć tu od miasta droga. Zebyć choć po ludzku gadali szlachcic byłby zaraz chlebem, a może i podpiwką ugościł, a ci nie! — mówił sobie dalej.

Wzruszył ramionami i przybliżył się do studni, stojącej nieopodal chaty pana Marcina.

Zóraw zaskrzypiał, a majster rzekł, spojrzawszy ku studni:

— Ten szlachcic urodzony bodaj nie tyle pytał o jezdnych, ile o kawałek chleba...

— O, wodę się pociesza! — roześmiał się czeladnik.

— Ba! na taki upał! — mruknął majster, i obejrzał się jakoś — bo mu się żal zrobiło owego chłopaka.

— Sfukałem go nie zapytawszy nawet, czy mu głód nie doskwiera — myślał sobie w duszy.

Byłby go, chętnie teraz zawołał i kazał iść do chaty, lecz wstyd mu było czeladników, przed którymi chciał zawsze uchodzić za bardzo surowego i nie cofającego nigdy tego, co raz postanowił.

Tymczasem nasz szlachcic urodzony pił chciwie z wiadra wodę, aż nagle usłyszał:

— Toć już dość tego picia, po wodzie i chleb też smakuje, a o taki w podróży nie łatwo.

Oderwał oczy i usta od wiadra i ujrzał przed sobą dziewczynkę boso, w szarej krótszej spódnicy, z włosami kopolastymi, spadającymi na czoło, która podawała mu dużą kromkę czarnego, doskonale wypieczonego chleba.

Bóg zapłać, majster mnie sfukał, toć od majstrówny nijako poczęstunek przyjmować, — odrzekł — nie wyciągając ręki po chleb, choć na jego widok oczy pożądliwie mu zainigotały.

— A skąd wiesz żem ja majstrówna? — zapytała śmiało.

— Ba... odparł zapytany.

Lecz nim się zdobył na dalszą odpowiedź dziewczyna zawołała rezolutnie:

— Eh, jensza majster, a jensza majstrowa.

I wetknąwszy mu do ręki kawał chleba, uciekła.

Odrzuciła się jednak, wołając:

— A poczekaj że jeno!

Niewdźd, który od wczoraj nie jadł, nie mógł się oprzeć pokusie, oglądając więc chleb na wszystkie strony, ułamał wreszcie spory kawał i utopił w nim białe swe, zdrowe zęby, tak rozumując sobie:

— Bo i prawda, jenszać majster, a jensza...

Lecz nie dokończył jeszcze tej wielkiej kombinacji, gdy dziewczynka, biegnąc szybko po ubitej ziemi podwórca, stanęła przed naszym podróżnym i podając mu niewielki dzbanek i garść twarogu rzekła:

— Naści, kwas żytni lepiej chłodzi niż woda, a i twarog co jeno ogrzany, byłabym przyniosła sperki, aleć dziś post... a może nie wis o tem? — spytała.

— Toć, odrzekł, zapychając usta twarogiem.

— Boć jutro niedziela, po jutrze świętego Wita odpust w naszym kościele, a we wtorek jarmark.

Dwa święta, majster się kwapi z robotą, wtedy mu nie trza leżć w drodze. Ale po jarmarku jakbyś chciał do terminu.

— Mnie tam wasz termin nie w głowie — przerwał porwyczo chłopiec, odejmując chleb, który właśnie niósł do ust.

— To r czegoż chcesz? — spytała dziewczynka, zdziwiona oburknięciem się przybyłego.

— A nie przejeżdżali tędy ludzie pana starosty albo i on sam; z pańska ma wygląd, a reszta to dwór.

— Aha, chcesz do dworu — rzekła filuternie dziewczyna.

I od stóp do głów zmierzyła biednie ubranego wyrostka.

Juści, że przejeżdżało ich trzech, jeszcze wczesnym rankiem, właśnieśmy jedli żur na śniadanie, kiedy zatętniały konie wedle podwórca i wszyscyśmy wylegli, ażeby ich obaczyć...

— A dokądże pojechali? — przerwał niecierpliwie Jasiek.

— A dokądżeby jak nie do miasta, ale ich nie dogonisz pieszo...

Niewdźd już ostatnich wyrazów nie słuchał.

— Bóg zapłać! — rzekł prędko i wybiegł z podwórca. Potem zaś podpierając się kijem, szedł szybkim krokiem w stronę, gdzie w zachodzącym słońcu błyszczały na kościele krzyże i widniała wieżyczka niewielkiego zamczku.

— Hi, hi! — zaśmiała się majstrówna. — To ci jakiś odmieniec — myślała sobie. — Co mi po waszym terminie rzekła, przedrzeżniając. Bieży jak opętany!... mówiła, parząc za nim.

— A przecie go nikt gonić nie będzie — dodała.

Z tem wszystkiem przebiegła podwórko, przeskoczyła zwinnie płot, oddzielający je od wiśniowego sadu, i skacząc jak sarna po grządkach rzepy i bobu, znalazła się wkrótce znów przy przeciwległym płocie, odgradzającym sad od drogi wiodącej do miasta.

Nie odetchnąwszy nawet, wskoczyła na płot, przerzuciła nogi na drugą stronę, usiadła o ile można było najwygodniej, trzymając się jedną ręką kółka, i bębniąc bosymi nogami po żerdziach, wołała z tryumfem sama do siebie:

— Aha, chociaż ty chybki, ja jeszcze chybniejsza.

Przysłoniła ręką oczy, chroniąc się przed świecącym promieniami słońca, spojrzała wzdłuż drogi i rzekła.

— Ani go widać! niedojda, pewnie nie znalazł drogi!

Poprawiła się na swem niezbyt wygodnem siedzeniu i zanuciła:

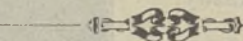
Ptaszek na gałęzi, a ja na płocie,
Oboje nas słońko skapało w złocie.

Po chwili znów przysłoniła oczy i rozejrzała się po drodze.

— O, idzie, idzie! ależ macha, jak w baśni; co krok to mila. Ale jest dopiero koło Wyciachowej stodoły, oh, oh! psy go opadły, a pójdziesz do nogi! oj, opędza że się też, opędza, bodaj czy Kusy nie chwyci go za nogę... eh, nie, opędził się, idzie rażno... Aha, a widzisz, żebyś nie był taki do biegu gorący, byłabym cię przez sad przeprowadziła, byłbyś już prawie w śródmieściu, a teraz co!... — szczebiotała dalej!

I spojrzawszy raz jeszcze na drogę, zeskoczyła nagle z płota do sadu, i ukryła się pomiędzy wysoko rosnącym zielskiem.

(d. c. n.)



ZOFIA BUKOWIECKA.

Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

(Dalszy ciąg)

Pocztę.

Dokonał tego hrabia Franciszek Turn-Taxis w XVI w. Ofiarował on cesarzowi Maksymilianowi I-mu bezpłatny przewóz wszystkich cesarskich depesz z warunkiem, że będzie mu przyznane dziedziczne w jego rodzinie prawo zakładania i prowadzenia poczty, i że odtąd nikomu prócz rodzinie Taxisów nie będzie dozwolonem przewozić przesyłek ani listów. Franciszek Taxis był przedsiębiorczym człowiekiem, bo jeśli urządzenie stałej komunikacji pocztowej było wielkiem dla Niemiec dobrodziejstwem, to niemniej zapewniło ono pomysłowemu i sprytnemu założycielowi znaczne korzyści. Ciągnął je on i jego rodzina przez trzy wieki, a gdy nareszcie przed dwudziestu kilku laty wykupiło państwo od rodziny Turn-Taxisów przywilej pocztowy, zapłaciło za niego 3,000,000 talarów.

Ale wróćmy do XVI stulecia. Za przykładem cesarza poszły inne państwa, oddając przywilej utrzymywania poczty w ręce poszczególnych rodzin. W Polsce Stefan Batory nadał przywilej na pocztę Sebastianowi Montelupi. Zygmunt III, a potem Władysław IV wszystkie dochody z podwód przeznaczyli na urządzenie poczt we wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej. Ustanowiono nad pocztami dozór, zaprowadzono administrację i przepisano porządek aby miasta głównejsze odbierały co tydzień wszelkie zaawiadomienia i listy. Stacje pocztowe utrzymywały po kilkadziesiąt, a nawet po kilkaset koni. Osoby bogate odby-

wały podróże własnymi kolasami, ale mogły brać konie pocztowe na stacyach. Podróże wówczas trwały niekiedy miesiące całe.

— Jakże to nudno jechać tak długo!

— Prawda, mój Janku, że droga do Paryża np. odbywana końmi, sprzykrzyć się mogła i znużyć, ileż jednak korzyści odnosił z niej podróżny, zatrzymując się często dla noclegów i poznając dokładnie przebywaną okolicę. Miały ówczesne wędrowki i pywabu wiele, ale trwało długo i długo na list czekać trzeba było. Dopiero koleje żelazne zmieniły zupełnie ustrój poczt, które do połowy XIX w., bardzo jeszcze były złe urządzone. Za przewożenie pocztowych posyłek i listów płacono w ogóle drogo, zawsze względnie do odległości. List Michasia do jego rodziców, kosztowałby drożej niż list twój, Janku, bo Michaś posyła swój do Sandomierza, a ty tylko do Radomia.

— Jakto, więc za każdy płacono inaczej?

— Naturalnie, im dalej wieziona była korespondencya, tem kosztowała drożej. Pomyślcie, ile było trudności z obliczaniem, jeśli ktoś chciał posłać list do Hiszpanii na przykład. Bo każdy kraj miał osobną takse pocztową, trzeba więc było opłacić koszt przewozu naprzód w Niemczech, potem we Francji, a nareszcie w Madrycie. Zrozumiecie łatwo, jak to utrudniało ogromnie przesyłanie korespondencji; zabierało mnóstwo czasu, obarczało urzędników niepotrzebną pracą i powiększało koszt. Jednakże, kiedy w Anglii w 1840 r., Rowland Hill zaprowadził jednostajność opłat pocztowych, t. j. wydał rozporządzenie, aby listy nie ważące więcej niż uncję opłacały 1 penny na całej przestrzeni Wielkiej Brytanii, znalazło się wielu takich, którzy mieli Rowlanda za szaleńca.

— Sani byli szaleni, że nie rozumieli tak prostej rzeczy.

— Nam się wydaje ona prostą, mój Janku, bo korzystamy z dobrodziejstwa tego roznego pomysłu, ale ludzie nie zawsze umieją ocenić prawdziwy postęp. Pocztę np. niejednokrotnie spotykały się z prześladowaniem głupców. Kiedy w XVIII wieku w Paryżu przybito na ulicach pierwsze skrzynki pocztowe, niektórzy uważali tę nowość za tak niewłaściwą, że zniszczyli je, a gdy przybito nowe, sypali w nie śmiecie, aby tym sposobem obrzydzić używanie tych skrzynek, w które my dziś tak chętnie wrzucamy nasze listy i narzekamy, że ich za mało.

— Myślałem, że Francuzi są mądrzejsi — przerwał zgorszony Janek.

— Niemądrzy znajdują się wszędzie, więc i we Francji; my zaś wróćmy do Rowlanda Hilla. On pierwszy, jako pocztmistrz generalny, czyli minister poczt, zaprowadził w Anglii jednostajną takse na listy do pewnej wagi i wynalazł najprostszy sposób opłacania jej przez naklejanie na kopercie marki pocztowej.



Wieża w Himalajach (do „Lat. Ryby”).

— Więc to on! — zawołał Janek. — Zawsze pamiętać będę nazwisko tego mądrego człowieka. A jak też wyglądała pierwsza marka?

— Wyobrażała Anglię w postaci kobiety, wysyłającej czterech skrzydlatych posłańców na cztery strony świata.

— Musiała być śliczna. Czemuż nie posiadam takiej w swoim zbiorze? Ale mam zato markę z San Salvador, która jest cała czerwona, i markę z Szanghaju z wielkim niebieskim smokiem.

— A ja mam Argentyńską i markę z wysp Hawajskich, obie bardzo ładne przedstawiają krajo-brazy.

— Ho! ho! widzę, mój Michasiu, że daleko więcej znacie marek niż ja; składam więc broń przed młodemi memi przyjaciółmi i wracam do historii poczt. Za przykładem Anglii, wszystkie narody wprowadziły użycie marek, dziś 310 państw i państewek w pięciu częściach świata posiada swoje marki pocztowe. Ale reforma opłat, zaprowadzona przez Rowlanda Hill, nie usunęła jeszcze wszystkich trudności. Chcąc wysłać list do Lu-

blina lub tylko do Wawra, naklejało się w Warszawie markę tej samej wartości, ale z korespondencyą zagraniczną działo się inaczej, bo każdy kraj miał swoją takse; list wyprawiony do Turcji kosztował drożej, niż gdy się go wysyłało do Paryża. Znow więc utrudnienie w obliczaniu kosztów, co się należy za przewóz korespondencji Niemcom, co Francji i t. p. Trzeba było znaleźć radę na tę niedogodność, bo coraz ściślejsze i częstsze stosunki powstają między poszczególnymi narodami, tak handlowe jak i umy-słowe.

Uczni, lekarze, prawnicy, przyrodnicy całego świata odbywają wspólne narady nad postępem dokonanym w ich zawodach. Wszelkświatowe wystawy gromadzą ludzi i uczą poznawać się wzajemnie, szanować prawa i zwyczaje każdego narodu. Dla ducha ludzkiego nie istnieją granice, tem mniej oprzeć się one mogą potrzebom serc, które ludzkość węzłem braterstwa spoić pragnie.

Te prądy i potrzeby międzynarodowe sprawiły, że w r. 1874 zebrał się w Bernie w Szwajcaryi, przedstawiciele wszystkich państw europejskich; Stany Zjednoczone Amer. Północnej i Egipt, przysłały także swych posłów i na tym to kongresie utworzony został międzynarodowy związek pocztowy, tudzież *Union postale universelle*, a postanowiono, że listy, pieniądze, gazety, książki, broszury, oraz posyłki prób towarów, mogą być wyprawiane z jednego krańca świata w drugi, za jednakową i możliwie niską cenę, opłacaną marką kraju wysyłającego. Przekonano się bowiem, że im mniej kosztują listy, tem więcej ich ludzie pisują, więc i dochody z poczt rosną i pociecha dla serc ludzkich z odebrania wiadomości od oddalonych bywa częstszą.

Chrystus Zmarłwychwstał.

*Wszedł tedy Piotr
i on
drugi uczeń
(Jan)
i przyszedli do grobu.
A bieżeli oba spolem,
a on
drugi uczeń
wyścignął Piotra,
i pierwszy
przyszedł do grobu.*

(Ew. św. Jana 20. 3. 4).



*Przyszedł tedy
Szymon
Piotr idąc za nim,
i wszedł w grób,
i ujrzał prześcieradła
leżące...
Na ten czas tedy
wszedł i on uczeń,
który był pierwszy
przyszedł do grobu,
i widział i uwierzył.*

(Ew. św. Jana 20. 6. 8).

*I byłem
umarły, a oto
jestem
żywiący na
wieki.*

(Obj. 1. 18).



Kwiaty w pokoju

napisał

E. JANKOWSKI.

V.

Podlewanie roślin pokojowych jest sprawą najdrażliwszą. Ono to jest najczęściej przyczyną, że rośliny wyglądają nędznie, że końce ich liści schną, czernieją, lub dostają plam i gniją.

Rzadziej znacznie rośliny cierpią od zbytku wilgoci, choć i to się przytrafia, — częściej od braku wody.

Niepodobna nauczyć wszystkich przypadków, zdarzających się przy podlewaniu, ale można przynajmniej wskazać zasady, któremi przy podlewaniu należy się kierować. Kto te zasady zachowa w pamięci, ten z pewnością przy pilności, po jakimś czasie, nauczy się przynajmniej podlewać swoje rośliny. Woda jest bardziej potrzebną roślinom, niż zwierzętom, gdy bowiem te ostatnie pobierają wodę w pokarmach, rośliny przeciwnie, potrzebują pić i to dużo, by mieć wodę po części na swoją budowę, po części do parowania. Pokarmy mineralne z ziemi dostają się też do ustroju roślinnego, jedynie rozpuszczone w wodzie i z nią.

Pomijając owoce, nasienia i korę, w innych częściach rośliny znajdujemy wody 80%, a w częściach miększych, jak liście i młode łodygi — nawet 90 do 95%. Parowanie też, zwłaszcza w lecie, jest bardzo znaczne, a tą drogą traci niejedna roślina dziennie więcej wody, niż sama waży.

W pokojach ogrzewanych parowanie równie jest przyspieszone.

Wszystko to wskazuje, że trzeba rośliny poić obficie i o tyle często, o ile tego potrzebują.

Człowiek żywi się dobrze, gdy naraz spożywa niewielką ilość pokarmu i przyjmuje go wtedy, gdy uczuje głód. Im mniej je na raz, tem częściej jeść potrzebuje.

Rośliny potrzebują pojenia rzadziej, ale gdy się im daje wody, to trzeba jej dać dużo. Ileż mianowicie? Tyle, żeby cała bryła korzeniowa nią przesiąkła. Można to osiągnąć nalewając dużo wody w doniczkę naraz, aż przecieknie na podstawkę. Na tej podstawie pozostawić należy wodę przez jakie pół godziny, a gdyby nie wsiąkła, zlać resztę. Postępujemy tak dla tego, że lekka ziemia przepuszcza często wodę, nie napiwszy się dosyć, trzeba tedy żeby mogła nabrać jej od spodu. To, czego nie wypije przez jakiś czas, jest nadniarem i musi być zlanem na zewnątrz, bo korzenie, zanurzone w wodzie, zgnieć mogą łatwo.

Żeby można było nalać do doniczki dostateczną ilość wody, potrzeba, by ziemia znajdowała się na jaki centymetr ($\frac{1}{2}$ cala) niżej od jej wrębu. Gdyby ziemi było zawiele, lepiej odyspać nieco.

Największą trudność przy podlewaniu stanowi ocenianie, kiedy ziemia w doniczce jest już sucha i podlania potrzebuje. Poznać można ten stan po pewnych znakach, a nauczyć się poznawać można znowu przez praktykę.

Przedewszystkiem tedy doniczka, zawierająca ziemię suchą, staje się jasną, podczas gdy ziemia wilgotna nadaje jej barwę czerwonawą, na całej wysokości, lub gdy wysycha — przynajmniej w dolnej części. Jeżeli w taką doniczkę uderzymy palcem zgiętym, wydaje dźwięk, gdy od ziemi wilgotnej, odgłos jest głuchy.

Barwa ziemi wysuszonej jest jasna, wilgotnej ciemna. Jednakże ziemia wrzosowa, torfowa i inne próchnicowe, już dość mocno wysuszone, są jeszcze prawie czarne. Ze je podlać trzeba, przekonamy się dotykając palcem. Nietylko sama powierzchnia powinna być sucha, ale na głębokość przynajmniej 1 cm.

Rośliny chore, w czasie spoczynku będące, o liściach skórkowatych i mięsiste, podlewa się rzadziej, a w zimie w ogó-

le rzadziej, niż w lecie. Przeciwnie rośliny prędko i silnie rosnące, opatrzone pąkami kwiatowymi lub kwitnące, wydające nowe liście i w ogóle w lecie, a nawet na wiosnę, o ile słońce na nie pada — trzeba podlewać częściej.

Po przesadzeniu podlewanie musi być umiarkowane i stosowane wtedy, gdy ziemia dobrze wyschnie. Rośliny chore również podsusza się nieco, żeby je przygłodzić, bo inaczej ziemia łatwo zakwaśnieć i zaplesnieć może.

(d. c. n.)

W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

(Dalszy ciąg).

M'Bongwele ukarany.

W kwadrans później oszołomione nagłośnią tych wydarzeń kobiety uprowadzone zostały przez Karlińskiego krytymi drzwiczkami do wnętrza statku, a stamtąd do salonu, gdzie z całą serdecznością powitali je trzej Anglicy, którzy zaraz zajęli się sprowadzeniem kufrów z rzeczami wyhawionych z niewoli rodaczek. Następnie pani Scott z siostrzenicami udały się do przygotowanych już dla nich kajut gościnnych, a panowie, zgromadzeni w kajucie sterniczej, naradzali się nad tem, jak należy im postąpić z M'Bongwele'm. Pytanie to rozstrzygnięte zostało w chwili, gdy na wschodzie różowa jutrzienka ukazała się na niebie; wówczas statek skierowano nad pałac króla, gdzie stała już pod bramą przyboczną straż M'Bongwele'a i wszyscy mieszkańcy wioski, zebrani tu w największym popłochu.

Za ukazaniem się „Latającej Ryby” cały tłum padł z przestrachu twarzą do ziemi, a konni wojownicy o mało nie potratowali współbraci swoich, zabierając się do ucieczki, od której z niemałym trudem powstrzymał ich Seketulo. Nie mógł on także przytłumić uczucia niepokoju, ale pocieszał się myślą, że mu policzone będą za zasługę starania, jakie czynił dla złagodzenia przykrego położenia więźniów.

Gdy statek opuścił się na plac przed pałacem, zapanało głuche dokoła milczenie; trwogę, przejmującą wszystkich zgromadzonych, spotęgowało ukazanie się na pokładzie czterech przed paru godzinami więzionych tajemniczych podróżnych.

Głęboką ciszę przerwał profesor, który zawołał donośnym głosem:

— Seketulo, jesteście twoimi przyjaciółmi; zbliż się tutaj i słuchaj rozkazów naszych.

Uspokojony temi słowy, wódz murzyński uderzył piętami w boki rumaka, który w podskokach zbliżył się na kilka naciągów kroków do okrętu; tam, zsiadłszy z konia, jeździec czekał z pochyloną głową i przygiętymi kolanami zapowiedzianych rozporządzeń.

— Słuchaj, Seketulo — mówił Karliński — przybyliśmy w te strony ożywień najlepszymi zamiarami względem tutejszego króla i jego poddanych, dowodem tego podarki, złożone z pereł, ubrania i innych rzeczy, ofiarowane Luambie i towarzyszącym mu Murzynom w czasie pierwszej ich u nas bytności. W zamian żądamy tylko dozwolenia swobodnego zwiedzenia ruin, obiecując płacić hojnie za pomoc przy odgrzebywaniu zwalisk. Czy nie tak?

— Tak jest, potężny czarodzieju — przywodził Seketulo.

— Tak, tak — przywtarzali śmielsi z grona Murzynów.

— W nagrodę za nasze dobre chęci jakżeście się z nami obeszlisi? — ciągnął dalej profesor — król wasz podstępnie umyślił nas pochwyć, dopuściliśmy do tego dla wypróbowania jego uczciwości. Trzymając nas u siebie jako więźniów, zapragnął jeszcze zagarnąć nasz statek, sądził, że podobnie jak my potrafi go ujarzmić i dowolnie nim kierować. Naturalnie, usiłowania jego były bezskuteczne. Za tę zdradę jednak musi być ukarany: od tej chwili M'Bongwele zostaje strącony z tronu, a Seketulo w jego miejsce panować będzie. Niech oddział straży idzie do pałacu i przyprowadzi tu M'Bongwele'a dla wysłuchania wyroku.

W tejże chwili Lualamba, skory do przypodobania się nowemu władcy i rad ze sposobności pomśzczenia dawnych uraz na upadłym monarsze, udał się na czele kilkunastu żołnierzy do pałacu i niebawem przyprowadził przed Europejczyków strąconego z tronu króla.

M'Bongwele nigdy może nie miał tak odpowiedniej godności swojej postawy jak teraz, gdy mu przyszło stawać przed surowymi sędziami. Nie zapierał się popełnionego podstęp, gdyż wzrósł w pojęciu, że wszelkiego rodzaju fałsz, zdrady, morderstwa nawet dozwolone są dla utrzymania i wzmocnienia władzy. Wiedział też, iż nadeszła chwila w której przypłacić musi za niepowodzenie, a lubo nie domyślał się, jaka go spotka kara, pamiętając o stanowisku, chciał w obliczu poddanych paść pod ciosami losu z królewską powagą.

Tak więc, w świetle promieni wschodzącego słońca człowiek ten stał bezbronny, otoczony tłumem ludzi, którzy wczoraj na jedno jego skinienie gotowi byli życie poświęcić, a teraz czekali rozkazu białych przybyszów, aby go rozzerwać na sztuki; stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z głową w tył odrzuconą, ściągniętymi brwiami, ustami zaciśniętymi i wzrokiem utkwionym w białych ludzi, mających go sądzić. Gdy wyrok detronizacji, i wygnania został ogłoszony, nie poniżył się prośbą o przebaczenie lub złagodzenie kary; nie próbował usprawiedliwiać postępowania swego; tylko skłonił głowę na znak, że poddaje się konieczności i zażądał kilka minut czasu dla pożegnania rodziny, zanim orszak zbrojnych ludzi odstawi go do granicy państwa.

Po załatwieniu tej przykrej sprawy obecni Murzyni zostali wezwani do złożenia hołdu i przysięgi nowemu królowi, poczem przyniesiono złotą koronę M'Bongwele'a z piórami i włożono ją na głowę Seketula, któremu Europejczycy udzielili wskazówek, jak sprawiedliwie i mądrze sprawować ma rządy nad powierzonym mu ludem, a gościnnie i względnie obchodzić się z cudzoziemcami, którzyby przypadkiem do jego kraju zawitali.

„Latająca Ryba” jeszcze trzy miesiące pozostawała w tym kraju, raz dla przekonania się, czy osadzony na tronie monarcha spełnia sumiennie i sprawiedliwie swe zadania, a powtórnie dla dokładnego zbadania zwalisk starożytnego grodu, których szczegółowy opis, sporządzony przez profesora miał być podany do jednego ze specjalnych pism naukowych.

Katastrofa na szczycie góry Ewerest.

Czterech naszych podróżnych opuściło wreszcie królestwo Seketula z wielkim żalem jego mieszkańców, którzy przekonali się, iż za najmniejszą przysługę biali ludzie wynagradzali hojnie wspaniałymi darami w postaci paciorków, guzików, ubrania lub małych lusterek.

„Latająca Ryba” poszybowała po nad oceanem Indyjskim wprost do Bombaju, gdzie pani Scott i jej siostrzenice życzyły sobie wylądować; tam też wysadzono je w ustronnem miejscu, i pożegnano prosząc o zachowanie do czasu tajemnicy względem napowietrznego statku. Następnie baronet i jego towarzysze, żądni nowych wrażeń, pod osłoną nocy poszybowali ku górcom Himalajskim i nad ranem znaleźli się u stóp góry Ewerest czyli Gaurisankar,

mającej 8840 metrów wysokości, a więc najwyższej na kuli ziemskiej.

Podróżni postanowili dosięgnąć szczytu tej góry.

W dolinie porosłej bujną trawą, koło jakiejś górskiej wioski, obrano chwilową przystań. Jerzy i kucharz, wyczerpani upałem i brakiem ruchu, prosili o pozwolenie zostania w tej wiosce dla odpoczynku, aż do powrotu panów ze szczytu góry. Sir Reginald zgodził się na to ze względu, że wyprawa ta nie miała trwać dłużej nad dzień jeden i że nieli przez tak krótki czas obejść się bez kucharza w obec przygotowanych zapasów.

Nikt nie spodziewał się wówczas, że urlop, udzielony służbie, ocalił jej życie.

— Zamierzając dosięgnąć wierzchołka góry Ewerest — rzekł profesor do towarzyszy, gdy wstawali od śniadania — musimy być przygotowani na to, że wyprawa ta pomimo, iż posiadamy „Rybę” nie jest jednak pozbawiona pewnego niebezpieczeństwa. Wypływa ono z dwóch przyczyn: z ostrego zimna i z wielkiego rozrzedzenia powietrza na tak niesłychanej wysokości. Od zimna zabezpieczyć się możemy ciepłą odzieżą; od zabójczego zaś dla organizmu ludzkiego zbytniego rozrzedzenia powietrza ratować nas jedynie może ubranie nurków. Jakkolwiek dziwną wyda wam się tego rodzaju przezorność, uprzedzam, że zabrać musimy z sobą zapas zwyczajnego powietrza. W tym celu zanim wzniesiemy się w górę radzę przygotować ubrania nurków.

Stosując się do tego polecenia, w pół godziny później podróżni mieli już nasobie ciepłe, zimowe ubrania, a kostiumy nurków w zapasie pod ręką. Po wypuszczeniu powietrza ze zbiorników, puszczone w górę „Latającą Rybę.” W krótkce dosięgła ona wysokości 6000 metrów, następnie szybkość wlotu zmniejszała się stopniowo. Na wysokości 500 metrów statek przestał się podnosić, co świadczyło o tem, że w tak rozrzedzonym powietrzu „Latająca Ryba” staje się zbyt ciężką.

W odległości mniej więcej 10 mil ang. pokryty śniegiem i tonący w promieniach słońca, błyszczał przed nimi upragniony szczyt góry Ewerest, ale jeszcze o kilkaset metrów wyżej od nich.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Dom z aluminium. — Olbrzymi teleskop. — Kwiaty i dzieci.

Zeszłej jesieni wykończony został w Chicago dom, służący na wyróżnienie nietyle swą wielkością, jakkolwiek wznosi się na 17 pięter, (co często w Ameryce ostatnimi czasy spotkać można) ile wyborem materyału, którego użyto do jego budowy. Niema w nim bowiem nic giesielskiej ani mularskiej roboty, lecz cały składa się jedynie z grubych słupów żelaznych, które mu nadają główną podstawę, oraz z półcentymetrowych płytek aluminiowych, które układane niby cegiełki i odpowiednio spajane, tworzą mury grubości od 50 do 80 cm. Nawet drzwi i ramy okien są z tegoż metalu. Tak więc klęska pożaru nie zagraża temu pierwszemu — świecie budynkowi z aluminium, który nawet na wpływ ciepła okazuje się odpornym, i jak złym jest jego przewodnikiem, tak też rozszerza się pod jego wpływem prawie nieznacznie, te właśnie warunki mieli architekci przy budowie owego domu szczególnie na uwadze. Wszakże mimo wszystkich zalet, czas dopiero okaże o ile owa nadzwyczajna i kosztowna budowla będzie rzeczywiście praktyczną.

Największą osobliwością ze wszystkich, jakie Francuzi przygotowują na wystawę, mającą się odbyć w 1900 roku,

będzie niezawodnie olbrzymi teleskop, budowany podług wskazówek uczonego Franciszka Deloncel'a. Bo gdy istniejące dotychczas teleskopy dawały powiększenia najwyżej 4000 razy, ten powiększać będzie aż 10,000 razy, w skutek czego obserwowany przez niego np. księżyc, widny będzie jakoby w oddaleniu zaledwie 1000 kilometrów od ziemi.

Z jakąż więc dokładnością będą mogli odtąd uczeni zbadać tajemnice satelity naszego. Dodajmy jeszcze, że konstrukcja owego teleskopu pozwoli robić zdjęcia fotograficzne z odbitego w zwierciadle obrazu, którego pojedyncze części powiększone za pomocą aparatu, w rodzaju latarni czarnoksiężkiej, przedstawiane być mają publiczności, dając nadzwyczaj ciekawe panoramy widoków księżycy.

Któż z nas, a zwłaszcza dzieci nie lubi kwiatów, pielęgnowanie których prócz przyjemności uczy porządku i troskliwości jak widzimy z art. „Kwiaty w pokoju”. Przyrodzone to upodobanie wieku dziecięcego, starannie rozwijają w Anglii. Corocznie, gdy wiosna nadchodzi, otrzymuje każdy uczeń w szkołach tamtejszych, roślinkę w doniczce, napełnionej ziemią ogrodową. Dziecko zanosi ją do domu i pielęgnuje starannie przez całe lato. W jesieni znowu przed nastaniem mrozów, przynosi swą doniczkę do szkoły. Jest to dla uczniów dzień świąteczny. Szkoła zamienia się w ogród, pełen balsamicznej woni. Następuje rozdział nagród za kwiaty a pierwszy nagrodzony uczeń dumny jest

ze swej zasługi, jakby naprzykład odznaczony medalem na wystawie zaszczycony hodowca chryzantemów, pierwszą nagrodą w Pałacu kryształowym. Następnie podają ciastka i napoje chłodzące; śpiewy i tańce kończą dzień. W Ameryce Północnej panuje zwyczaj wieńczenia kwiatami domów ubogich. W Chicago zgromadzają się dwa razy tygodniowo zamożne damy, odbierają nadesłane im przez zwolenników towarzystwa kwiaty i rozdzielają je pomiędzy ubogich, rozdają po przytułkach sierot, szpitalach i t. p. Dzieci i starcy czują jednaką rozkosz, odbierając te wonne dary. Ładny to zwyczaj i godny naśladowania.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Album pisarzy polskich. Ułożył S. Demby, ill. H. Piątkowski. Pięćdziesiąt portrecików i krótkich życiorysów wybitniejszych autorów, poczynając od Św. Wojciecha, kończąc na Asnyku. Bardzo ozdobne wydanie i pożyteczna książeczka.

Dr. Wł. Ołtuszewski. Szósty przyczynek do nauki o zbożeniach mowy i psychologia mowy.

F. S. Omochowski krótki zbiór historii polskiej.

GAZETA POLSKA.

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Co tydzień książka, jako bezpłatny dodatek. Kwart. 2 r. 40 kop z przes. 3 r. Warecka 14.



Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

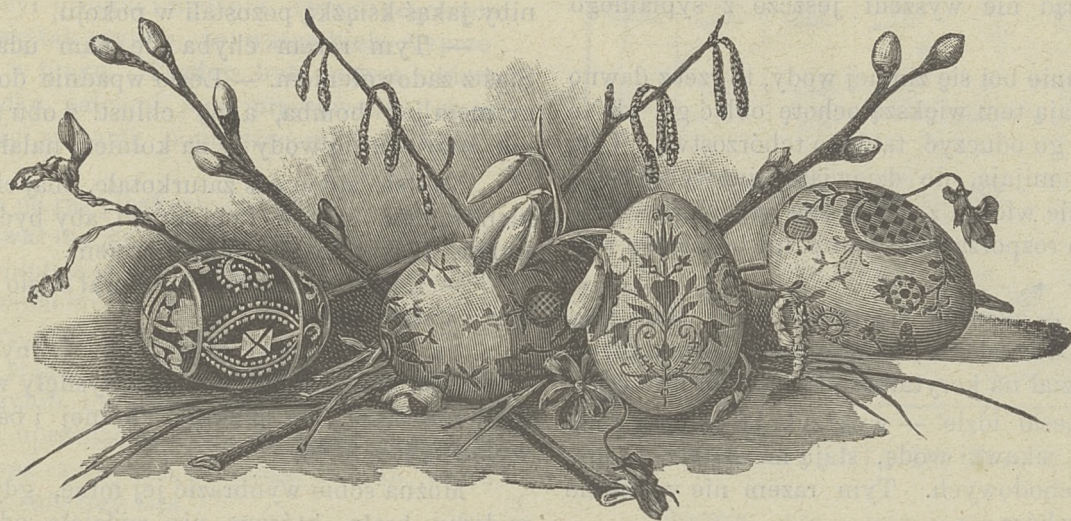
W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Alleluja wiersz przez A. E. Odyńca (z ryc.) — Jan Niewdzyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Z dziejów cywilizacji przez Zofię Bukowiecką. — Chrystus Zmartwychwstał (ryc.) — Kwiaty w pokoju napisał E. Jankowski. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. (z ryc.) — Ze świata. — **Dodatek:** Świącone, wiersz (z ryc.) — Nieudany śmigus przez I. M. — Skrzydła odwagi, przekład P. Gr. Łamigłówny i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Powrócili, powieść dla dorastającej młodzieży przez Teresę Jadwigę.

WIECZORY RODZINNE



ŚWIĘCONE.

Ot święcone już gotowe
Na naszym stoliku,
Ach jest z czego stracić głowę:
Przysmaków bez liku.

Tutaj babki lukrowane,
Strojny mazureczek,
A tam jajka malowane,
Z masła baraneczek.

I prosiątko też pieczone
Na półnisku leży,
Jajko w pyszeczek ma włożone
Ino patrzeć: bieży...

Tu kielbasy, tam znów szynka,
I bułeczki chleba,
Pieprzu, soli odrobinka,
Wszystko, co potrzeba...

Ja barwinku gałązkami
Wszystkom umała,
Co się ukrył pod śniegami,
Kiedy zima była.

Nikt już tutaj nic nie doda,
Prześliczne święcone!
Aż pomyśleć nawet szkoda,
Że ma być zjedzone!

Przytem myślę sobie teraz,
Że są ludzie biedni
Którym nie stać w święta, nieraz
I na chleb powszedni.

Że są w świecie takie dzieci,
Co mamy nie mają;
Choć im Boże słońko świeci
Tylko nędzę znają.

Więc poproszę drogiej matki,
Bym moje święcone
Mogła rozdać między dziatki,
Co są opuszczone.

Niech i one się radują,
Gdy w kółko wesele,
Niechaj głodu nie poczuja,
Gdy ja mam tak wiele!

M. D.

NIEUDANY ŚMIGUS.

Wesoło było, gwarno, ale mokro w sieni i na ganku u państwa Milskich w świąteczny poniedziałek. Staś i Józio, dwaj uczniowie trzeciej klasy, przybyli do domu na święta, już o siódmej rano byli na stanowisku, z sikawkami pełnymi wody, oczekując na całe domowe towarzystwo, które miało tędy przechodzić na śniadanie. Mama jeszcze wczoraj zapowiedziała, że w pokojach, przez wzgląd na świeżo zawoskowane posadzki, oblewać się nie wolno, tylko w sieni i na dziedzińcu, i to jedynie do godziny dziewiątej rano; potem

ani kropli! kto zaś popadłapi ten zakaz, nie dostanie ani kawałeczka mazurka.

Wobec takiego zastrzeżenia, nic dziwnego, że Staś i Józio korzystali z czasu i każdego wchodzącego do sieni witali strumieniem wody. Dostało się i służbie i siostrzyczce Maniusi, i nawet parę kropel w same oczy nauczycielce, pannie Emilii, która też odwzajemniła się chłopcom całą szklanką. Służący Marcinek już dwa razy wycierał wodę w sieni, żeby do pokoju nie popłynęła, ale trzeba przyznać, że mu to wcale nie popsło humoru.

Wszyscy śmieją się, wycierają chustkami mokre twarze i suknie; słowem wesoło, aż się dusza raduje! Marcinek zwija się w kredensie, bo na obiad ma przyjechać jakaś ciocia, co podobno zdaleka jedzie i jeszcze nigdy u państwa Milskich nie była, ale pomimo to Marcinek, Staś i Józio, nie tyle myślą o jej przybyciu, co o tem, czy też uda im się oblać najmłodszego braciszka, Lesia, który dotąd nie wyszedł jeszcze z sypialnego pokoju.

Lesio ogromnie boi się zimnej wody, to rzecz dawno znana, i bracia mają tem większą ochotę oblać go, ale to porządnie, żeby go oduczyć takiego tchórzostwa. Cóż, kiedy kwadranse mijają, do dziewiątej już tylko kilka minut a Lesia nie widać, z pewnością przyjdzie wtedy, gdy stosownie do rozporządzeń mamy, nie będzie się wolno oblewać!

— Panicze! — odezwał się w tej chwili Marcinek, uchylając drzwi od kredensu, — Lesio pewnie zaraz przyjdzie, bom go widział na korytarzu; już całkiem ubrany.

— Lesio, Lesio idzie! — wykrzykują chłopcy i napełniwszy swoje sikawki wodą, stają na czatach po obu stronach drzwi wchodowych. Tym razem nie wymknie im się ten mały tchórz.

Mija minuta, dwie, trzy — nagle śmiech Lesia słyszą w jadalnym pokoju. Zdrajca! obiegł ogrodem i wskoczył przez okno otwarte do salonu, żeby uniknąć nieproszonej kąpieli.

Chłopcom przeciągają się twarze, zwłaszcza, że w tej chwili bije dziewiąta i oto już kres oblewania.

— Z tego Lesia nigdy nic nie będzie — zdecydował Józio, wypróżniając z westchnieniem na trawnik swoją sikawkę.

Staś nie daje wszakże za wygraną, jemu się zdaje, że mama pozwoli jeszcze oblać Lesia, chociażby nawet w pokoju; ale i ta nadzieja zawodzi: mama potwierdza stanowczo, że: kto chce jeść mazurki, nie tknie się już wody.

— Kto chce, ba, któżby nie chciał? chociaż pokusa oblania Lesia jest tak wielka... tak wielka..

Po powrocie z kościoła, po długich naradach z Maniusią i Józiem, Staś z miną bohatera oznajmia rodzeństwu, że on nie będzie już dzisiaj jadł mazurków, ale za to obleje Lesia.

— Niech się tak wody nie lęka, to go na przyszły rok zostawimy w spokoju, a tym razem darować mu nie można — powtarzają obaj bracia, przemyślając nad sposobem wykonania swego planu.

Już to najbezpieczniej byłoby oblać go poza oczami starszych, możeby się w takim razie dało uniknąć bury, cóż! kiedy Lesio stale się dzisiaj trzyma towarzystwa mamy i panny Emilii, ani spotkać go samego.

Mama zaleciła chłopcom, aby przy cioci, która miała ich dopiero poznać, starali się być bardzo grzeczni i nie mówili zbyt głośno.

Manusia, ubrana w białą sukienkę, miała na wstępie powitać ciocię ładnym wierszykiem, ogłaszając jej bukiet fiołków.

Spodziewano się jeszcze od cioci telegramu z doniesieniem, czy przyjdzie w południe, czy wieczorem, i ta-

tko posłał na stacyę z zapytaniem, czy telegram jeszcze nie nadszedł.

Lesio, zapewne w chęci usunięcia się braciom z oczu na jaką godzinkę, uprosił rodziców, aby i jemu wolno było pojechać po telegram ze starym Grzegorzem.

Po drugim śniadaniu wszyscy poszli przejść się po ogrodzie, wszyscy, oprócz Józia i Stasia, którzy zajęci niby jakąś książką pozostali w pokoju.

— Tym razem chyba się nam uda — powtarzał Staś z zadowoleniem. — Lesio wpadnie do pokoju z telegramem jak bomba, a my chlust! z obu stron na niego, tak, żeby mu się wody aż za kołnierz nalało.

Na dziedzińcu coś zaturkotało, obaj chłopcy z okrzykiem radości stanęli koło drzwi, aby być w pogotowiu. Lekkie kroki dały się słyszeć w sieni.

— Raz, dwa, trzy! — rachował Józio z palcem opartym na sikawce.

Na „trzy” drzwi skrzypnęły jakby na komendę i dwa szerokie strumienie wody trysnęły w twarz... Nieestety nie Lesia, ale pięknie ubranej i bardzo poważnie wyglądającej cioci.

Można sobie wyobrazić jej minę, gdy ją na wstępie w domu brata, którego nie widziała od lat dziesięciu, spotkało takie zimne i mokre powitanie.

Miny chłopców nie były o wiele weselsze, o, wcale nie! O ile cioci było zimno, o tyle im znowu gorąco, zwłaszcza gdy w tej chwili usłyszeli poza swemi plecami głos wchodzącego do pokoju ojca.

Na szczęście wszystkie ciocie bywają zazwyczaj bardzo dobre i ta także, jadąca zdaleka, nie różniła się od nich w niczem, i gdy Józio i Staś zaczerwienieni jak raki, urywanemi słowami wyjaśnili całą sprawę, sama wstawiła się za młodymi winowajcami do rodziców, wypraszając ich nie tylko od pokuty, ale nawet od bury.

Wszystko skończyło się wcale dobrze: Lesio uniknął kąpieli, Manusia choć cokolwiek później wręczyła cioci swój bukiet, ale Staś i Józio będą długo pamiętali swój wstyd i „nieudany śmigus.”

I. M.

SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia, kiedy zwyczajem corocznym, krawiec zaszedł do nich na robotę, ojciec Marcinka powitał go temi słowy:

— Kochany mańkucie — tak przezywano krawca, który posługiwał się zawsze lewą ręką, — nie mam teraz dla ciebie zajęcia, ale chciałbym, żeby mój malec wyuczył się twego rzemiosła. Mogę nawet cośkolwiek za naukę zapłacić, jeśli na małym poprzestać zechcesz. Za rok będzie mógł pomagać ci w robocie, załatwiać sprawy i sam zarabiać już na życie.

— Ile dostanę za naukę? — pytał krawiec, spudając z góry na chłopca.

Podczas gdy przybysz z gospodarzem targowali się i układali warunki umowy, Marcinek strapiony, i nie mający żadnej ochoty do kroju i szycia, przypatrywał się majstrowi, któremu miał być oddany jakby w niewolę. Był to mały, brzydki człowiek, z garbem na plecach, zezowaty i kulawy. Mankut dochodził już pięćdziesiątki; duża, łysa głowa jego miała kształt olbrzymiego ogórka. Ubrany był brudno i nędźnie. Długie jego ręce inogi poruszały się tak szybko, że wszystkich wyprzedzał w robocie i w biegu. Trudno było nawet okiem gonić za igłą prędko palcami jego przesuwaną, lub za łokciowej wielkości stopami, podnoszącymi tumany kurzu na drodze.

Marcinek nie po raz pierwszy spotykał się z krawcem, zawsze wydawał mu się odrażającym, ale dziś widok jego przejmował chłopca takim strachem, że byłby uciekł i skrył się w kąt najciemniejszy, lecz przypomniał sobie o skrzydłach tchórzostwa i odwagi.

Skoro układ stanął, Żaczek i krawiec uderzeniem w łonie targ przybili i zasiedli przed dzbanem piwa, a matka Marcinka, uprzedzona o tem co zaszło, poszła do alkierza przygotować rzeczy dla biednego dziecka, które opuszczało dom na całe trzy lata.

Do tej chwili chłopak nie rozumiał jeszcze położenia swego; słyszał nieraz wprawdzie dowodzenie ojca, że dla niego o rzemiośle myśleć wypada, nie przypuszczał jednak, żeby to tak prędko mogło nastąpić. Z natury łagodny, i posłuszny, nie byłby nigdy odważył się stawić oporu woli ojca; gdy jednak zobaczył matkę wychodzącą z alkierza z węzełkiem w ręku i powstrzymującą łzy, gwałtem cisnące jej się do oczu, zrozumiał grożące mu niebezpieczeństwo, chciał rzucić się ku niej i w objęciach mateczki szukać ratunku.

Nie miał już na to czasu; krawiec wyciągnął długie kościste ręce i chwycił niemi chłopca, niby pajak muchę. Zarzuciwszy go sobie na plecy rzekł do gospodarza:

(d. c. n.)

SZARADA.

Bez pierwszych, na miejscu nieruchomie stoi
Goniec, co się najdalszej przestrzeni nie boi.
Drugie jest to spółgłoska w zwykłych liter kole;
Wszystko prędko ujrzyć na świątecznym stole.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Amator ptaków dla Puszczyka z P.

Zastąpić kropki literami i ułożyć 10 wyrazów, których pierwsze litery, oraz pierwszy wiersz, złożony mają nazwisko polskiego muzyka i kompozytora. Wiersz 2) Twierdza w Morawii. 3) Miasto we Włoszech. 4) Miasteczko w gub. Piotrk. słynne grota stalagmitową. 5) Miasto w Dalmacji nad Adryatykiem. 6) Miejscowość nad Prądnikiem. 7) Produkt wyrabiany przez owady. 8) Dopływ Wisły. 9) Sylaba. 10) Samogłoska.

NITECZKA ARYADNY. Od Wichury dla Turkawki.

I	nie	sze	przej	rzy	sta	czy
wiem	mil	nad	de	sta	ta	oj
co	ludz	nad	wo	co	cha	nad
kie	czyst	sze	lep	sze	droż	sze
wej	co	do	nad	ln	co	nie
rze	nie	bre	u	dzi	wspom	nie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Szarady: Cie — trze — wie.

Arytmogryfu:

1) Jawa. 2) Ara. 3) Niemen. 4) Syon. 5) Zegar. 6) Cecora. 7) Zazdrość. 8) Elton. 9) Pegaz. 10) Atlas. 11) Narcyz. 12) Ibis. 13) Karp.

Jan Szczepanik.

Łamigłówni literowej:

Czem chata bogata tem rada.

Skrzynka do listów.

Pani Helenie hr. Ł. Za życzliwe wyrazy uznania dla naszej pracy, serdecznie wdzięczni jesteśmy. Podobne odezwy są prawdziwą nagrodą za trudy i bodźcem do dalszej pracy.

Pani Elizie K. Wszyscy bez wyjątku prenumeratorzy całorocznicy mają prawo do wyboru powieści. Żądane, wysyłamy niezwłocznie.

Pensyonarce. Piętnastego kwietnia upływa dopiero termin nadsyłania prób kaligrafii, nie możemy więc ogłaszać wcześniej następnego konkursu. Ale być może, że i starsze panienki dopuszczone będą w tym roku do ubiegania się o nagrodę w konkursie robót ręcznych.

Zadanie i rebusiki Wacia F. musimy przejrzeć starannie, zanim wydamy wyrok: będą czy nie będą drukowane? Mamy twej polecenie natychmiast spełniliśmy.

Odpowiedź na pierwszy list Kondora K... wypadkowym sposobem nie została wydrukowana, pospieszamy więc teraz donieść, że i drugi list jego odebraliśmy, i nadesłane łamigłówni przejrzymy, zachęcając do dalszych prób w tym rodzaju.

Stefusia, Wacia i Stasia C. otrzymaliśmy 2 ruble na Szpitalik dziecienny, od Haliny L. 1 rubla na kolonie letnie.

Dobrze rozwiązali zadania: Janusz M., Dwunastoletni prenumerator i Franciszka M.

Twój rzewny i tak smutny list ostatni, Szczebiotko muzykalna, wzruszył mnie do głębi serca, chciałabym ci przesłać bardzo i bardzo długą odpowiedź i wypowiedzieć wszystkie słowa pocie-

chy i współczucia, które mi się cisną na usta, ale mimo chęci szczerzej, drukować tego wszystkiego nie można. Mam nadzieję, że stan twój się poprawi, młodość ukrywa w sobie duże źródła siły i zdrowia, a Bóg próśb naszych wysłucha, bo możesz być pewną, że i ja w modlitwie o tobie zapominać nie będę. Nie zmęczyłam się, list twój długi odczytując, ale chwilami chciałam wraz z tobą zapłakać. Za twoją dla mnie serdeczność i zaufanie, Bóg ci zapłać moja droga Szczebiotko. O dalsze wiadomości proszę serdecznie, jeżeli ciebie pisanie męczy, to niech **Pieszczoszka** wyręczyć cię zechce.

Nie o lenistwo nawet, ale o zupełne zapomnienie posądzałam was, moje miłe **Raki z Siedlisk**, aż tu słicznie napisany, żółty liścik rozwał moje przykre przypuszczenia. Ucieszyłam się do bremini i wesołemi wiadomościami o was, a najbardziej tem, że **Raczk** zawsze do grona moich przyjaciółek zaliczać mogę. Rozwiązania wszystkie bardzo dobre. Czy znów tak długo na wieści z **Siedlisk** oczekiwać będę?

Od **Janusia z Z.** zapowiedzianej łamigłówki oczekuję, a na zapytanie donoszę, że próbę kaligrafii należy przysłać na dużym arkuszu, co najmniej ze dwie strony zapisanym, bo z kilku linii ocenić pisma niepodobna. Łamigłówkę rozwiązałeś trafnie.

Oleńce M. Arytmogryf rozwiązuje się w ten sposób, że obrane liczby, z których każda przedstawia jedną i tę samą literę, zastąpić należy literą i ułożyć wyraz podług określenia. Nie mogę ci podać sposobu korespondowania z **Wichurą**, bo i ja nie znam jej nazwiska, a Redakcyja korespondencyi pomiędzy czytelnikami nie przyjmuje.

Pierwszy twój list **Jagódka** z pod N. Radomska musiał zaginać, i dla tego nie zostałeś pomieszczoną pomiędzy tymi, którzy nadesłali dobre rozwiązanie zadania arytmetycznego. Łamigłówkę geograficzną odgadłyście trafnie, a tę, którą sama ułożyłaś dałam w Redakcyi do osądzenia, czy się nadaje do druku. Siostrzyczki twe pozdrow odemnie.

Jakóbowi S. z B. C. Bardzo żałuję, że nie mogę zadość uczynić twej prośbie, ale Nr. 1 **Wieczorów** z roku 1898, zupełnie został wyczerpany i w Redakcyi znajdują się tylko roczniki, których psuć dla jednego numeru w żaden sposób nie można. Życzę ci powodzenia przy zdawaniu egzaminów, a pomyślniej wiadomości oczekiwać będę.

Korałowi Morskiemu. Przysłany arytmogryf złożyłam w Redakcyi, a jeżeli tylko okaże się odpowiedni i stosowny, nie potrzeba mego wstawiennictwa, aby został wydrukowanym, musi jednak poczekać swej kolei.

Jwie. Winnam ci się najprzód wytłómaczyć, dla czego list twój przez parę numerów pozostawiłam bez odpowiedzi. Chciałam wypełnić twe życzenie i o przyslanej powiastce napisać zdanie szczere i otwarte, a nie poprzestając na własnym sądzie, prosiłam o niego kogoś starszego i bardziej doświadczonego w tych rzeczach. To zabrało więcej czasu i dzisiaj dopiero odzywam się do ciebie.

W przyslanej powiastce znać łatwość pisania, miejscami styl dobry, ale trochę przewlekły i dla tego drukować jej nie możemy. Możebyś postarała się napisać parę drobnych powiastek, zupełnie krótkich, dla młodszej dziatwy, na początek byłoby to łatwiej i prędzej moglibyśmy je pomieścić. Dziękując za twe przyjazne wyrazy, pozdrowienie serdeczne dla ciebie, nieśmiałej siostrzyczki i małego braciszka przesyłam.

I znów jedna więcej miła korespondentka przybyła mi w osobce pisującej pod pseudonymem **Konwalii leśnej**. Ale nie myśl Konwalijko, że jesteś najstarszą z pisujących do mnie, w tym wieku mam ich bardzo wiele, a i staruszki (taką nazwę obrały sobie panienki, które ukończyły lat 16) obdarzają mnie często miłemi listami. Bardzo dobrze zrozumiałaś, jak powinien być napisany pierwszy list, by odrazu znajomość była zawarta, teraz znając twoje gusta, zajęcia i rozrywki, łatwo mi przedstawić cię sobie we własnej wyobraźni i obdarzyć przyjaźnią. Nie mogę tylko zadość uczynić twemu życzeniu i wyjawić imię moje i nazwisko, bo taki już zwyczaj, że wszyscy czytelnicy znają mnie tylko pod nazwą „**Jaskółki**,” do której otwarcie i przyjaźnie

pisywać przywykli. Szarady bardzo zręcznie i gładko pisane, sądzę, że będą mogły być pomieszczone, może zechcesz przysyłać ich więcej. Redakcyja nasza pośredniczy chętnie w kupowaniu i przesyłaniu wszelkich książek.

Dwie ładnie uszyte sukienki od **Kasi R.** stosownie do życzenia posłane zostaną do zarządu Kolonii letnich, i choć nie możemy ich uważać jako roboty konkursowe, na które dorocznym zwyczajem, ogłoszony będzie konkurs podczas wakacji, uznajemy dobre twe serduszek i pamięć o biednych..

Czarnemu Żuczkowi postaram się wybrać odpowiednią książeczkę na premium i przysłę ją wraz z zaginionym numerem **Wieczorów**. Niesłusznie sądzisz swe pismo, nazywając je nieładnym, bo list twój bardzo porządnie i starannie pisany, omyłki ani jednej; radzę ci też stanąć do konkursu kaligraficznego.

Tuberozie na Aftaju. List twój ze stron odległych przywędrował do mnie. Opis wesołego przepędzenia świąt, bardzo mnie zajął. O współczesnych trudno bezwzględny sąd wydać, nie można więc orzec stanowczo, kto jest najślawniejszym teraz poetą i malarzem.. Cena książek następująca w sprawie: „**Krewni**” kop. 80., „**Duch puszczy**” r. 1 kop. 20, „**Chata wuja Toma**” r. 1 kop. 20, „**Rok życia**,” r. 1 kop. 50, „**Słonko**” r. 1 k. 80. Początek powieści „**Juraś i Anulka**” wyczerpany zupełnie. Całość z przesyłką dla prenumeratorów wynosi kop. 30.

Nie mam wcale zamiaru dawać ci jakiegokolwiek przewiska, moja mała **Turkaweczko**, i serdecznie żałuję wraz z tobą zguby zegarka. Rozumiem, jaka to wielka przykreść dla ciebie, bo wiem co to jest pierwszy zegarek, a nie winię cię bardzo, bo przecież i starszym zdarza się nieraz kosztowniejszą rzecz zgubić: „wypadki chodzą po ludziach.” Na pociechę powiem ci pod sekretem: mam przeczcucie, że przyszła gwiazdka lub imieniny, strąte nagrodzą. Donieś mi wtedy czy zgadłam. Po premium zgłoś się wprost do Redakcyi.

Stokrotce, Mirtecze i Małej Literatce wspólną już dzisiaj, dla braku miejsca odpowiedź przesyłam. Cieszę się, że zdrowie mamy twojej **Stokrotko** i braciszka już dobre, że choć w oddaleniu spokojną już być możesz o swoich ukochanych. A pod opieką tak dobrej cioci, jaką jest mama **Mirtecze** i **Małej Literatki**, nawet tęsknota lżejszą się staje. Jak wielką wdzięczność serduszek wasze powinny odczuwać dla tej niezrównanej mamy i cioci, która tak ciągle myśli o was, kształcąc główki i serca, ucząc zajęć tak pożytecznych i przyzwyczajając do spełniania obowiązków. Dyżury tygodniowe bardzo mi się podobają. Na przyszły raz może obszerniejszą będę wam mogła dać odpowiedź, na teraz polecam się zawsze waszej pamięci i przyjaźni.

Logogryf Marylki S. z Ozorkowa i metagram **Czarnego Koziołka**, złożyłam w Redakcyi dla oceny, czy nadają się do druku. Mam nadzieję, że **Marylka** pragnąc zawrzeć ze mną bliższą znajomość, zechce obszerniej napisać, bo z kilku linii trudno się lepiej poznać. A **Czarny Koziołek** niechaj częściej układa łamigłówki lub metagramy, to i większej nabierze w tem wprawy.

Przepióreczka także po raz pierwszy, ale dłużej się nieco odzywa do mnie. Skąpą jesteś wszakże w szczegółach, więc i do ciebie tę samą prośbę zanoszę co do **Marylki**. Polecenie spełnione, książka wysłana.

A teraz zwracam się do was, wszyscy drodzy moi korespondenci i przyjaciele, do was wszyscy czytelnicy **Wieczorów**, byście w radosny dzień Zmartwychwstania Pańskiego, przy jajku Wielkanocnem przyjąć zechcieli życzenia serdeczne: niechaj was zdrowie nie opuszcza i niechaj nauka będzie wam nie obowiązkiem ciężkim, lecz przyjemnością i łatwym zadaniem. Zachowajcie długo, długo w serduszkach waszych młodość i wesołość!

Wesołego Alleluja!

Wasza *Jaskółka*.